



Czysty Ogień

Karolina Andrzejak

KAROLINA ANDRZEJAK
CZYSTY OGIEŃ

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016
Redakcja: Joanna Śłużyńska
Korekta: Robert Wieczorek
Redakcja techniczna: zespół RW2010
Copyright © Karolina Andrzejak 2016
Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2016
Zdjęcia na okładce © fotolia / Anatol Misnikou
Zdjęcia na okładce © fotolia / Sasa Komlen
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-185-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

NAWIEDZAJĄCY SNY.....	6
Przyjazd.....	6
Uciekaj, póki możesz.....	13
Śmierć jak kobieta – bywa zmienna.....	22
Jestem twoim snem.....	30
Zdrajca.....	39
Taniec świateł i nocny motyl.....	49
Legenda szaleńca.....	58
Goście z Dubaju.....	72
Custus Ignis.....	77
Czuwający.....	90
Bezlitosny Morfeusz.....	105
W ogniu.....	110
Milcząca.....	124
Odmieniony.....	130
Nataniel.....	135
Kilka tajemnic piekła.....	140
Archanioł na odwyku.....	149
Król ciemności.....	161
Uczta.....	169
Pokusa.....	177
Błogosławieństwo.....	189
Dobra rada.....	198
Gdy umiera nadzieja.....	207
Pojedynek.....	213
Złamany.....	223
Zło nie zapomina.....	230

WŁADCA NOCY.....	236
Bezpieczny sen.....	236
Zaproszenie.....	241
Przebudzony.....	250
Zdraycy stąpają w królestwie niebieskim.....	255
Szemesz.....	262
I miłuj ojca swego.....	266
Cud.....	275
I wszyscy święci będą czuć strach.....	286
Święto krwi.....	292
Umarł król, niech żyje król.....	298
Wojna.....	302
Koszmar.....	308
Nowe czasy.....	316
Spotkanie z mrokiem.....	319
Zdradzony anioł.....	326
W piekielnym raju.....	330
Punkt krytyczny.....	340
Odliczanie.....	346
Spokój.....	353
Epilog.....	356
Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:.....	358

Hierarchia chórów anielskich według św. Tomasza z Akwinu:

1. Serafiny
2. Cherubiny
3. Trony
4. Panowania
5. Cnoty
6. Potęgi
7. Księstwa
8. Archaniołowie
9. Aniołowie.

NAWIEDZAJĄCY SNY

*Co, jeśli anioły nie mają skrzydeł?
Co, jeśli w swych gładkich, czułych dłoniach dzierżą miecze?
Miecze zbroczone krwią...*

PRZYJAZD

Terminal przylotów pełen był zniecierpliwionych i zmęczonych pasażerów. Z zainteresowaniem śledziłem podróżnych szukających w tłumie znajomych twarzy swoich krewnych. Najbardziej lubiłem ten moment, gdy członkowie rozdzielonych rodzin padali sobie w ramiona. Na każdym lotnisku świata powitania wyglądały tak samo. Stęsknieni ludzie obejmowali swoich rodziców, dzieci lub partnerów z nadzieją, że ten prosty gest przegoni cierpienie spowodowane długą rozłąką. Bez względu na wiek, kolor skóry czy wyznanie tęsknota boli tak samo.

Zduśłem w sobie narastające uczucie goryczy i z westchnieniem spojrzałem na zegarek. Człowiek, który miał mnie odebrać, spóźniał się już dwadzieścia minut. Co za brak profesjonalizmu. Kręcąc głową, spojrzałem na tablicę informacyjną. Za dziesięć minut startuje samolot do Berlina, za dwadzieścia minut do Londynu. Oddałbym wszystkie papierosy świata za możliwość znalezienia się na pokładzie jednego z nich.

Niestety, wylądowałem tutaj. W Polsce. Kraju konserwowych ogórków, ksenofobów i marnej pogody. W kraju moich przodków. Mogłem potraktować tę wycieczkę jako powrót do korzeni, ale brakowało mi entuzjazmu. Przez skórę czułem pospolitość i szarugę tej części świata. Miałem ogromną nadzieję, że kilka tygodni, które przyjdzie mi tu spędzić, minie szybko, niemal niezauważalnie. Zastanawiałem się nad kolejnym negatywnym epitetem, który mógłbym dopasować do tego miejsca, gdy stanął przede mną obcy mężczyzna.

– Pan Adam Sanders? – zapytał, odsłaniając w uśmiechu szerokie, białe zęby.

Kiwnąłem głową, patrząc na jego ogromną postać. Z pewnością ważył grubo ponad sto kilogramów. Poliestrowa koszulka z trudem opinała potężną klatkę piersiową. W gładko ogolonej głowie odbijało się lotniskowe oświetlenie. Prawe oko miało kolor ciemnego brązu, a lewe szarego błękitu. Różnica była bardzo wyraźna, przez co twarz mężczyzny – toporna i oszpecona bliznami po przebytej ospie – sprawiała wrażenie zbitki dwóch niepasujących do siebie połówek. W geście przywitania nieznajomy wyciągnął w moją stronę szeroką, spracowaną dłoń. Na jej wierzchu, między kciukiem a palcem wskazującym, wytatuowany był symbol anioła. Znak, w którego cieniu przyszedłem na świat i w którego cieniu przyjdzie mi umrzeć.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Problemy techniczne, nie mogłem... eee... odpalić auta. Janusz Borkowski jestem. Nie ma pan ze sobą bagażu? Cholera... pewnie nie mówisz po polsku.

Obserwowałem, jak zażenowany drapie się w głowę. Po chwili zastanowienia zaczął powtarzać swoją wypowiedź po angielsku. Szło mu bardzo opornie. Pojedyncze słowa poprzedzały długie pauzy i westchnienia. Uznałem, że oszczędzę mu tych męczarni.

– Spokojnie. Mam tylko podręczny bagaż i całkiem dobrze rozumiem język polski.

– No i całe szczęście. – Odetchnął z wyraźną ulgą.

– Mój dziadek był Polakiem – wyjaśniłem. – Nauczył języka moją matkę, która później uczyła mnie i mojego brata. Znajomość angielskiego, jak widać, nie bywa gwarancją skutecznej komunikacji. Przynajmniej tutaj.

Ta złośliwa uwaga nie zrobiła na nim większego wrażenia.

– Zaparkowałem naprzeciwko terminalu.

Kiwnąłem głową i ruszyliśmy do wyjścia. Po kilku minutach zatrzymaliśmy się przed starym mercedesem barwy zgniłego jabłka. Spojrzałem zdeglustowany na ten wehikuł czasu. Jego właściciel dostrzegł mój niesmak.

– Ważne, że jeździ.

Szarpnięciem otworzył drzwi. Wnętrze samochodu śmierdziało stęchlizną, a dywanik podłogowy po stronie pasażera obsypany był piachem. Ziewnąłem zmęczony i rozsiadłem się w fotelu.

– No to gdzie jedziemy, panie Sanders? – zapytał Borkowski.

– Do hotelu. Nie mam dziś siły na poszukiwania.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Po paru chwilach heroicznej walki silnik wreszcie zaskoczył.

– Proszę mi mówić Adam. Czuję się idiotycznie, kiedy słyszę „pan”.

– No tak. – Janusz zaśmiał się pogodnie. – No to fajno. Zdziwiłem się, kiedy zadzwoniliście do mnie z Dubaju. W Warszawie mieszka kilku innych zaprzysiężonych członków Organizacji i nie sądziłem, że padnie na mnie. Od ostatniej wizyty Widzącego w tej części Europy minęło chyba sporo czasu.

– Jakies trzydzieści pięć lat.

– Trochę tutaj inaczej niż u Arabów, co?

– Tutaj jest zdecydowanie gorzej.

Chrząknął, zdezorientowany moją szorstką odpowiedzią.

– Jak długo potrwać poszukiwania w Warszawie?

– Kilka tygodni, maksymalnie dwa miesiące.

– Kilka tygodni? – Uniósł brwi. – W Warszawie mieszkają prawie dwa miliony ludzi. Kilka tygodni to bardzo mało.

– Wystarczająco. Szczerze wątpię, żeby Zapałka była tutaj.

– Dlaczego?

Westchnąłem znudzony.

– Szukamy jej od ponad ośmiuset lat w losowo wybranych miejscach. Jeden człowiek pośród sześciu miliardów. To jak szukanie igły w stogu siana. Prawdopodobieństwo powodzenia jest znikome. Większość Widzących szuka Zapałki w dużych aglomeracjach miejskich. Rzadko kiedy któryś z nas decyduje się na podróż w dzikie

zakątki świata, choć w sumie równie dobrze jak w Nowym Jorku Zapałka może się urodzić w amazońskiej puszczy. Na moje oko szukanie potrwa jeszcze kilka wieków. Kilka epok i kilka pokoleń.

Odwróciłem głowę w stronę ulicy. Zawsze dziwił mnie widok bujnej roślinności w środku upalnego lata. Niezwykły widok dla kogoś, kto dorastał w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Westchnąłem głęboko na wspomnienie rodzinnego kraju. Brakowało mi zapachu morza i piasku zawieszonego w powietrzu. Tęskniłem za futurystycznym Dubajem, pędzącym w szeroko rozstawione ramiona gospodarczego rozwoju. Przymknąłem powieki, wspominając lazur wody Zatoki Perskiej. Dubaj, mój Dubaj. Jedyne miejsce, które mogłem nazwać domem, było teraz tak daleko, że jego obraz zdawał się fikcją. Jak nierealna kraina zamknięta na pojedynczej klatce filmowej.

– Jestem pewien, że ją znajdziemy – odparł Janusz.

Jego podejście nie dziwiło mnie aż tak bardzo. Był zwykłym, nieuzdolnionym członkiem Organizacji i nie pojmował ogromu pracy, jaki w poszukiwaniu Zapałki wkładali Widzący. Jak przystało na typowego zaprzysiężonego, płacił comiesięczne składki i uczestniczył w zgromadzeniach, podczas których wysłuchiwał wystąpień Przewodniczącego. Na tym jego obowiązki się kończyły. Moje życie wyglądało zupełnie inaczej.

– Skąd bierze się ta pewność?

– To proste. Nikt się jej tutaj nie spodziewa, a los uwielbia zaskakiwać ludzi – stwierdził.

– Z tym się akurat zgodzę: nie spodziewam się jej tutaj zupełnie. – Ziewnąłem po raz drugi.

– Wiadomo przynajmniej, czy to kobieta, czy mężczyzna?

– Nie, i nie ma to dla nas znaczenia. – Przyjrzałem się jego silnym przedramionom i podróbce roleksa na nadgarstku. Ten tandetny styl wzbudził we mnie sympatię. Mężczyzna był pełnym przeciwieństwem osób, z którymi pracowałem wcześniej.

Nie wyczuwałem w nim chorego fanatyzmu. Wręcz przeciwnie, przepełniała go ciepła nadzieja. Rzadkość wśród członków Organizacji.

– Czym się zajmujesz na co dzień? – zapytałem.

Parsknął rozbawiony.

– Lepiej zapytać, czym się nie zajmuję. Ostatnio pracowałem w agencji ochroniarskiej. Wcześniej byłem wojskowym, ale mała płaca, a gęba obita, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Tak jakby – mruknąłem.

– Zresztą kogo obchodzi to, co było kiedyś. Ważne, że od dzisiaj pracuję dla ciebie! Czuję, że będzie dobrze. Znajdziemy Zapałkę i dzięki nam świat stanie się lepszy. – Zaśmiał się radośnie.

– Cóż za entuzjazm... – Spojrzałem posępnie na mijane przez nas budynki. Ich poszarzały tynk zdawał się z trudem przylegać do ścian.

W moim rodzinnym mieście ulice tonęły w bieli, tutaj królowały szarość i czerwień budek z chińszczyzną. Całe miasto przypominało nieforemną bryłę betonu. Ulice były brudne, a budynki wzniesione bez koncepcji. Dubaj, choć ściśnięty twardą pięścią ortodoksyjnego islamu, sprawiał wrażenie bardziej wyzwolonego niż ta paskudna, zakompleksiona środkowoeuropejska nora, która z zadyszką próbowała dogonić rozwinięty Zachód.

– To nie entuzjazm, tylko wiara. Co jak co, ale jako Widzący o wierze wiesz więcej niż przeciętny zjadacz chleba – rzucił z przekąsem.

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na oderwaną głowę lalki Barbie, wciśniętą w schowek przy drzwiach.

– Masz rodzinę? – zapytałem.

– Miałem. – Nieudolnie próbował zatuszować smutek w głosie. – A ty?

– Wszyscy Widzący Organizacji to jedna rodzina.

– No tak... Oczywiście.

Z piskiem opon i w oparach spalin podjechaliśmy pod hotel. Goście wchodzący do budynku obrzucili nas pogardliwym spojrzeniem, jakby ten paskudny samochód burzył ich wyidealizowany obraz rzeczywistości.

– Mam jutro przyjechać o jakiejś konkretnej godzinie?

– Tak. – Podrapałem się w głowę. – O ósmej rano. Powiedz mi jeszcze, gdzie znajduje się największy węzeł komunikacyjny?

Wskazał palcem betonowe rondo.

– To jest ściśle centrum miasta. Dobre miejsce, by zacząć poszukiwania.

Z obojętnością przesunąłem spojrzeniem po chaotycznie porozwieszanych reklamach i rozkopanym chodniku.

– Doskonale. Wolę szukać na otwartych przestrzeniach. W centrach handlowych trudniej mi się skoncentrować.

Wyjąłem z portfela plik pieniędzy i wcisnąłem je do schowka w desce rozdzielczej. Janusz wybałuszył oczy, które przybrały kształt piłek do ping-ponga.

– Myślałam, że pieniądze dostanę ostatniego dnia pracy.

– To nie zapłata. Skońj jakiś porządny samochód z wypożyczalni. No to na razie. – Siłowałem się przez kilka chwil z pordzewiałą klamką.

– Na razie – odpowiedział niemrawo, wyraźnie urażony.

W recepcji odebrałem kartę wejściową do zarezerwowanego wcześniej apartamentu. Hotel był całkiem znośny, a co ważniejsze, niemal pusty. Nie odbiegał od standardów, do jakich przywykłem.

Zamknąłem za sobą drzwi apartamentu i oparłem głowę o ich drewnianą powierzchnię. Odetchnąłem głośno i zamaszystym ruchem ściągnąłem z siebie koszulkę, która opadła na podłogę. Obszedłem pokój i włączyłem telewizor. Nie lubiłem ciszy. Głos dziennikarza maskował samotność. Przez chwilę bezmyślnie patrzyłem na mocno upudrowaną twarz mężczyzny. Jego słowa do mnie nie docierały; wszystkie zlewały się w bezsensowny bełkot. Nerwowo przeskoczyłem kilka kanałów, aż znalazłem program muzyczny dla nastolatków. Podkręciłem głośność do maksimum, zdją-

łem resztę ubrań i wszedłem do łazienki. Zostawiłem otwarte drzwi, tak by wyraźniej słyszeć dudniącą melodię.

Z ulgą poczułem wodę spływającą po zeszywniałych plecach. Oparłem dłonie o glazurę, którą wyłożono wewnątrz kabiny, i zgodnie z przyzwyczajeniem spróbowałem wody. Zawsze smakowała inaczej. Afrykańska miała posmak rzeczno-piasku, a w Stanach Zjednoczonych miękkiego wapienia. Polska woda była żelazista i ciężka.

Zacząłem wspominać kraje, które ostatnio odwiedziłem. Ich liczba imponowała, co tylko spotęgowało uczucie wewnętrznego wypalenia. Ciągle w drodze, bez szans na prowadzenie własnego życia. Usiłowałem przypomnieć sobie dzień, kiedy odpoczywałem, robiąc coś bez znaczenia, coś bez sensu... Pod przymkniętymi powiekami błysnęło kilka obrazów, które na próżno próbowałem przyporządkować do konkretnej daty. Od jakiegoś czasu czułem narastającą rezygnację. Może podświadomie zważyłem w całą tę ideę ratowania świata? Może wszystko, w co dotąd wierzyłem, było kłamstwem, ułudą? Próba zniewolenia? Byłem zmęczony ciągłym szukaniem, wyczerpany cholerną nadzieją, która z dnia na dzień słabła, a wraz z nią słabłem i ja. Tak wiele zależało od jednego człowieka, który nie miał pojęcia, że już teraz jest dla mnie wszystkim. Człowieka, który nieświadomie zaplanował całe moje życie: od przeciętnego początku do przewidywalnego końca.

Zalała mnie wściekłość, którą skutecznie stłumiło poczucie obowiązku. Żyłem pod dyktando poszukiwań. Samo moje istnienie, sposób myślenia wywodziły się z potrzeby odnalezienia człowieka, o którym pisano jeszcze przed narodzinami Chrystusa.

Leżąc w łóżku, wsłuchiwałem się w dźwięk zegara. Monotonne tykanie rozchodziło się po pokoju niczym kroki ciężkiego zwierzęcia. Nie zmrużyłem oka. Z mieszanymi uczuciami powitałem poranek. Od pięciu lat niemal każdy dzień zaczynał się podobnie. W obcym mieście stałem się obcym dla samego siebie.

UCIEKAJ, PÓKI MOŻESZ

Otaczała mnie ciemność. Uniosłam głowę, szukając nieba i zawieszonych na nim gwiazd. Na próżno. Miałam wrażenie, że stoję gdzieś, gdzie nie istnieje czas, gdzie nie ma podziału na lądy i morza ani na dzień i noc. Chcąc zrozumieć ten stan, przywołałam wizję czystego płótna, niezapełnionego jeszcze wyobraźnią artysty. Czekałam więc spokojnie, mając świadomość, że każda mijająca sekunda mogła nie istnieć bądź trwać wieki.

Delikatne dotknięcie na policzkach wyrwało mnie z zamyślenia. Moją skórę rozświetlił blask bijący z głębi ciała. W tym ciepłym świetle dostrzegłam białe płatki, radośnie wirujące dookoła. Czyżby śnieg? Jedna z białych drobin opadła na moje ramię. Zaskoczona odkryłam swoją pomyłkę. Popiół. Biały i rozkosznie ciepły. Światło, którego byłam źródłem, powoli rozpraszało wszechobecną czerń.

Moje bose stopy zanurzone były w ciekłym ogniu. Nie sprawiało mi to bólu, wręcz przeciwnie. Receptory skóry uznały ten stan za zupełnie naturalny. Spojrzałam na swoje dłonie, chcąc się upewnić, że wciąż jestem człowiekiem. Pośrodku ich wnętrza błyszczały małe iskry. Przyglądałam się im zaciekawiona. Zaczęły kielkować niczym nasiona, by po chwili zmienić się w dwa rozkwitłe płonące kwiaty.

Sygnal budzika zmałował gładką powierzchnię snu. Otworzyłam oczy i poczekałam, aż przebudzę się cała, do końca. Wyciągnęłam rękę, by wyłączyć urządzenie wysyłające komunikat o kolejnym poranku. Niechętnie zsunęłam ciepłą kołdrę i dotknęłam stopami podłogi. Przyjrzałam się swoim chudym nogom, zbierając w sobie siłę, by rozpocząć dzień. Z wysiłkiem podeszłam do okna. Nie pamiętałam już poranków, które witałam wypoczęta. Szarpnięciem odgarnęłam ciemnozieloną zasłonę. Białe światło błysnęło brutalnie, a drobiny kurzu zatańczyły wokół mojej twarzy. Słońce było już wysoko, roztaczało po okolicy ostry, czerwcowy blask. Odkrywało każdą bruzdę w szarości blokowiska.

Patrzyłam bez celu w tę szarą masę, by po chwili odwrócić się w stronę drzwi. Babcia, jeśli można tak nazwać tę kobietę, przygotowywała śniadanie. Zapach kawy rozpląnął się po mieszkaniu. Przypomniałam sobie o dzisiejszym zadaniu i konieczności wyjścia na zewnątrz. Westchnęłam i sięgnęłam po ubranie. Opuszczając pokój, nawet nie zerknęłam w stronę kuchni; nie chciałam rozmawiać ze staruszką.

W łazience poczułam się bezpieczniej. Pomieszczenie było małe, a większość przestrzeni wypełniała wielka terma na wodę. Spojrzałam w lekko przekrzywione lustro, niedbale przymocowane do ściany. Patrząc na swoje odbicie, po raz kolejny próbowałam zaakceptować świat, w którym się znalazłam. Świat zupełnie inny niż ten, w jakim żyłam rok temu. Pasma moich czarnych włosów zwisały smętnie, okalając smutną twarz. Obraz przeszłości wrócił, klując w serce.

Czerwona luna rozświetlająca noc i tumany dymu wpełzające między drzewa niczym palce piekielnego monstrum. Pamiętałam wszystko. Drażniący nozdrza zapach spalenizny. Nieopisany huk ognia. Moje bose stopy i czarne od sadzy dłonie. Strzępki popalonej pizamy łopoczące na wietrze niczym proporce. I ja. Wpatrzona w grzywy falujących płomieni, naelektryzowana mocą, pełna niezrozumiałej euforii. Czyjeś ręce odciągające mnie od ognia. Czyjś krzyk przepełniony paniką. Krwista czerwień uniformu ratownika medycznego, a później samotność. Nieopisana, bezgraniczna samotność.

Zapach spalenizny zagnieździł się w moim mózgu niczym nowotwór. Przykłękłam nad sedesem i opróżniłam żołądek z mizernej zawartości. Minęło kilka chwil, zanim wróciłam do równowagi.

Po wysuszeniu włosów i włożeniu ubrania wyjrzałam z łazienki. Rozglądałam się przez chwilę niczym przestraszone zwierzę. Z ulgą zauważyłam, że kuchnia jest pusta, i pospiesznie ruszyłam w stronę lodówki.

– Pamiętasz, że jedziesz na tę rozmowę o pracę?

Głos stojącej za mną staruszki był pełen dezaprobaty. Westchnęłam nerwowo, zaniepokojona jej zainteresowaniem.

– Tak, pamiętam – odpowiedziałam.

– Na którą godzinę?

Odwróciłam się powoli. Miała na sobie białą, starannie wyprasowaną bluzkę i spódnicę do połowy łydki. Jej kostki były wyraźnie opuchnięte.

– Na dziewiątą trzydzieści... babciu. – Ostatnie słowo ledwo przeszło mi przez gardło.

Jej surowe spojrzenie emanowało złością i odrazą. Te emocje wymierzone były we mnie niczym ostrza noży. Babka przy każdej nadarzającej się okazji powtarzała, że wdałam się w swoją matkę; że oprócz wyglądu odziedziczyłam po niej złośliwy, samolubny charakter. Nie znosiłam tych porównań, nie chciałam być taka jak matka.

Pamiętam styczniowy wieczór, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Powiedziała, że wychodzi do sklepu. Nie zauważyłam dwóch walizek stojących pod drzwiami wyjściowymi. Do tej pory nie wiem, gdzie wyjechała. Bałam się zapytać ojca, który bardzo przeżył ich rozstanie. Rozwód i wszystko, co dotyczyło matki, stanowiło w naszej nielicznej rodzinie temat tabu. Na moje nieszczęście, dorastając, zaczęłam bardzo ją przypominać i mimowolnie stałam się celem ataków ze strony babki, która w byłej synowej widziała źródło wszystkich życiowych niepowodzeń syna. Dzisiaj znowu poczułam to, co prześladowało mnie od miesiąca. Zgęstniałe, lepkie powietrze otaczało zgarbioną postać kobiety niczym macki trującego bluszczu. Ta sama znajoma aura zepsucia, która kiedyś pojawiła się wokół mojego ojca i siostry. Upiorna zapowiedź tego, co niebawem nastąpi. Tego, co kiedyś rozbiło moje życie na kawałki. Wizytówka zbliżającej się śmierci, która w przypadku babki nadejdzie pod postacią choroby nowotworowej. Niemal czułam zapach morderczych komórek namnażających się w jej organizmie, siejących spustoszenie i ból.

– Wreszcie szukasz jakiegoś zajęcia. Brak mi już do ciebie siły. – Głos miała skrzekliwy, pełen pogardy. Znosiłam to jednak, bo bałam się samotności, która niestety była mi pisana.

– Pójdę już, nie chcę się spóźnić. – Minęłam ją ostrożnie, starając się uniknąć kontaktu z chorym ciałem.

Poranne powietrze pachniało skoszoną trawą i miejskim smogiem. Wspaniała woń dla takiego mieszczucha jak ja. Spojrzałam w niebo, pozwalając, by promienie słońca pogłaskały moją twarz. Odetchnęłam zrelaksowana, napawając się spokojem poranka. Na przystanek szłam powoli, wpatrując się w chodnik usłany niedopałkami papierosów. Szarość betonu była hipnotyzująca i przyjemnie monotonna.

Moją uwagę przyciągnął nieruchomy gołąb, który przycupnął przy krawężniku. Jego czerwone oczy sprawiały wrażenie zapadniętych w głąb czaszki. Powietrze wokół zwierzęcia przybrało kolor mętnej wody. Tylko ja widziałam tę zmianę. Nieliczni przechodnie przemykali obok, ignorując zdychające zwierzę. Zatrzymałam się na chwilę, obserwując postępujący proces śmierci. Niezwykły widok.

Niewielkim opierzonym ciałem wstrząsnął ledwo zauważalny dreszcz. Oczy gołębia zapłonęły srebrzyście, jakby wewnątrz małej główki rozbłysła żarówka. Słaba ptasia pierś opadła bezradnie w ciężkim westchnieniu, uwalniając resztki życiowej energii. Połyskujące bielą życie uleciało ku górze jak dym wypalonej zapalki. W martwych oczach nie było już światła, a skrzydła opadły na boki, przybierając kształt rozłożonych japońskich wachlarzy. Nachyliłam się ostrożnie, dziwnie zafascynowana. Była w tej scenie dramaturgia i tajemnica, którą pragnęłam poznać. Miałam świadomość, że dziwne wizje to oznaka jakiegoś umysłowego zaburzenia, ale z drugiej strony, czy wariat, który ma świadomość swojego szaleństwa, nadal jest wariatem? Bez względu na przyczynę wiedziałam, że skazano mnie na życie o smaku psychotropów i pogodziłam się z tym.

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk rowerowego dzwonka. Resztę drogi przebiegłam. Jazda metrem zajęłaby chwilę, ale zdecydowałam się na autobus. Był początek wakacji, dlatego nie martwiła mnie wizja kilometrowych korków. Dostrzegłam wysłużonego ikarusa czekającego na pętli; silnik odpalił, wyrzucając za siebie tuman ciemnych spalin.

Stałam wśród nielicznych pasażerów. Mimo pięknej pogody większość pośpiesznie spoglądała w okna. Po niespełna dwudziestu minutach byłam na miejscu.

Rozejrzałam się po tętniącym życiem centrum. Pałac Kultury i Nauki na tle letniego miasta wyglądał jak szary wycinek z gazety wciśnięty między kolorowe zdjęcia. Mimo swojej brzydoty wczepił się w otoczenie jak uporczywy kleszcz, który nie daje się usunąć. Patrzyłam na niego w zamyśleniu, dopóki nie poczułam spływającej z nosa krwi.

Stałem pośród przechadzających się ludzi z przymkniętymi oczami. Szukałem. Przez zamknięte powieki docierały do mnie błyski energii przechodniów. Wczytywanie nie było łatwą sztuką, ale po kilku latach treningu przychodziło mi to z przyjemną lekkością. Paradoksalnie udawało się tylko wtedy, gdy zamykałem oczy.

Po chwili pełnej żelaznego skupienia z ciemności wyłaniały się szare majaki ludzkich ciał. Nie miały one dla mnie żadnej wartości; ot, powłoki, prymitywne naczynia z mięśni i kości. O wiele cenniejsze było wypływające z nich światło. Ludzka dusza, złożona ze świetlistych błysków, tworzyła unikalną mozaikę życia. Niepowtarzalną i niezastąpioną.

Sporadycznie miałem okazję wczytywać się w energię istot niebędących ludźmi. Za każdym razem wyczuwały moje spojrzenie, przystawały z zaciekawione i obserwowały mnie przez krótką chwilę. Jakkolwiek bym je nazwał, pochodziły z zupełnie innego świata, który dla mnie pozostanie zagadką, przynajmniej aż do śmierci.

Najczęściej na swojej drodze spotykałem upadłych. Zwykli ludzie nazywali ich diabłami, czortami, złem wcielonym. Istniało wiele słów określających tę samą istotę. Nazwy, wciśnięte w wąskie ramy stereotypów i różnych religii, nie oddawały całej prawdy na temat ich charakteru. Bez wątplenia jednak istoty te były złe, jakkolwiek zło rozumieć... Zadziwiała mnie, z jaką swobodą poruszały się w ludzkim świecie. W jednej chwili spoglądałem na chłopca czytającego japoński komiks, w drugiej pa-

trzyłem na postać spowitą w czarną zgęstniałą energię, mieniającą się niczym plama oleju w słońcu. Obserwowanie ich było równie przerażające, co fascynujące. Im piękniejsza była ludzka powłoka, którą dany upadły przybierał, tym potężniejsza i straszniejsza spowijała ją ciemność.

Anioły spotykałem znacznie rzadziej. Ich blask – miękki i delikatny niczym płomień świecy – przeszywał na wskroś moje serce, łagodził ból egzystencji, w którym tonąłem od dwudziestu pięciu lat. Nigdy nie zapomnę uśmiechu, jaki posłał mi anioł podróżujący francuskim metrem pod postacią niedołężnej kobiety. Był to grymas, jaki gości na twarzy osoby pogodzonej z porażką, śmiertelną chorobą bądź nieodwracalną stratą. Uśmiech pełen smutku.

Z żadną z tych istot nigdy nie rozmawiałem. Istniały dwa powody, dla których tego nie robiłem. Po pierwsze, zabraniał tego rozkaz samego Przewodniczącego Organizacji. Nasza szlachetna, święta misja musiała pozostać tajemnicą. Po drugie, bałem się tak bezpośredniego kontaktu z czymś, czego do końca nie pojmowałem, mimo że tak wiele czasu poświęcałem na studiowanie Pisma Świętego, Koranu i Tory. Upadli byli groźni i kto wie, jak taka rozmowa mogłaby się dla mnie skończyć. W przypadku aniołów odczuwałem wstyd. Onieśmiałło mnie ich spojrzenie przepełnione nieskończonym dobrem. Po czymś takim trudno zaakceptować siebie jako człowieka – niedoskonałego i pełnego wad.

Dzisiaj z męczącą wręcz uwagą starałem się nie przeoczyć żadnej anomalii. Szare ciała otoczone tęczowymi barwami mijaly mnie obojętnie, nieświadome mojej ingerencji. Zachłannie zgłębiałem się w przepływającą esencję, gdy niespodziewanie poczułem palące ciepło. Z zamkniętymi oczami zwróciłem twarz w kierunku źródła energii. Moc magnetyzmu, z jakim mnie przyciągnęło, sprawiła, że zgromadzone w płucach powietrze uleciało w ciągu ułamka sekundy. Zachwiałem się na nogach jak nieporadny starzec.

Szary człekokształtny cień otaczała energia pełna ognia. Nigdy nie widziałem podobnej mocy. Wczytałem się głębiej, nie wierząc własnemu szczęściu. Palące pie-

czenie rozlało się po skórze całej twarzy – zupełnie jakbym stał pośrodku burzy piaskowej.

Gdyby nie Janusz, który chwycił mnie pod ramię, upadłbym na kolana. Oszolomiony, otworzyłem oczy, lokalizując człowieka, którego nie spodziewałem się kiedykolwiek znaleźć. Dziewczyna. Wyglądała na niespełna dwadzieścia lat. Ubrana była w brzydką granatową spódnicę i niewyprasowaną białą koszulę. Jej drobną, z pozoru zwyczajną twarz otaczała burza czarnych włosów. Poniżej prawego oka, na środku policzka, miała mały pieprzyk, który zakłócał harmonijną bladość cery. Uważny obserwator wyczytałby z jej twarzy łagodne usposobienie i skłonność do melancholii. Nie mogłem uwierzyć, że stoi tak blisko, nieświadoma swojej niepowtarzalności. Magia jej duszy niemal prześwitywała przez białą skórę, nadając całej postaci dziewczyny wygląd złotego witraża.

Patrzyłem, jak szuka czegoś w torebce, przyciskając wierzch dłoni do twarzy. Wydobytą chusteczkę higieniczną przytknęła do nosa, tamując obfite krwawienie. Odważyłem się zrobić pierwszy krok w jej kierunku. Ręce i kolana trzęsły mi się z przejęcia. Niemożliwe, niemożliwe, powtarzałem w myślach.

Na mój widok w jej szarych oczach błysnął niepokój. W tej jednej chwili, gdy nasze spojrzenia się spotkały, wszystko inne przestało mieć znaczenie. Otaczający nas ludzie zamarli w pół kroku. Ucichł szum ruchliwej ulicy. Targana niespokojnym wiatrem foliowa torba zawisła w powietrzu. Barwy kiczowatych billboardów zbladły, jakby cały ich kolor skupił się na dziewczynie. Tak zwyczajna, w brzydkim ubraniu, stała się dla mnie wszystkim. Moje serce dudniło coraz szybciej i szybciej napędzane adrenaliną.

Wszystkie moje obawy, rezygnację i zmęczenie zmiażdżyła najzwyczajniejsza w świecie satysfakcja. To ja ją odnalazłem. Najmłodszy z Widzących. Chłonałem widok jej zdziwionej twarzy. Była niczym zagubiony płomień pośród oceanu ciemności. Niepasujący kawałek układanki. Zmierzałem w jej stronę jak zauroczona ćma na

spotkanie upragnionego ognia. Gdzieś w głębi mojej samotności zakiełkowało ziarno uczucia i widziałem, że już nigdy nie zdołam go z siebie wyrwać.

Szli w moją stronę. Ten groźniejszy wyglądał na grubo ponad trzydzieści lat. Miał niedźwiedzią posturę, starannie ogoloną głowę i upiorne, różnokolorowe oczy. Przypominał ochroniarza pilnującego zdziczałych kiboli na ligowych meczach piłki nożnej. Młodszy z dwójki miał niedbale ostrzyżone, naturalnie popielate włosy. Jego szyję tuż pod prawym policzkiem ozdobił czarny tatuaż. Ostre, na pozór europejskie rysy twarzy skrywały ślad egzotyki, a złotobrązowa karnacja intrygująco kontrastowała z kolorem włosów. Nie wyglądał na bandytę, ale coś w sposobie, w jaki układał usta, napawało mnie lękiem, a ciemne oczy zdradzały bezwzględny charakter.

Powoli i niezdarnie cofnęłam się kilka kroków. Chłopak zaczerpnął gwałtownie powietrza, zdawszy sobie sprawę, że zamierzam uciec. Ten większy przechylił głowę jak drapieżnik oceniający swoją ofiarę. Nie czekając na rozwój sytuacji, zerwałam się do biegu. Młodszy bez zastanowienia ruszył za mną. Dawałam z siebie wszystko, mocno wyciągając nogi. Minęłam przystanek autobusowy, na którym wysiadłam, i dobiegłam do ruchliwego ronda. Chłopak z pewnością był szybszy, ale przechodnie krążący po centrum uniemożliwiali mu skrócenie dystansu. Odwróciwszy się przez ramię, zobaczyłam, jak potrąca mężczyznę czytającego gazetę i w ostatniej chwili wymija pędzącego rowerzystę. Zbiegłam po schodach do przejścia podziemnego. Mijając prowizoryczne sklepiki i barwnie oświetlone salony gier, niezgrabnie kluczyłam między stojącymi na mojej drodze ludźmi. Przeklinałam w duchu śliskie podeszwy kupionych na wyprzedaży butów. Ze zmęczenia wirowało mi w głowie, ale nie mogłam przystanąć. Niemal czułam na plecach oddech nieznajomego. Wpadłam w grupę osób stojących przed bramkami do metra i łokciami zaczęłam torować sobie drogę.

– Jest kolejka, do cholery! – krzyknął ktoś zirytowany.

Drżącą dłonią wepchnęłam bilet do czytnika. Miałam wrażenie, że minęły wieki, zanim zwolniła się blokada bramki. Zbiegając na peron, usłyszałam świst podjeżdżającego pociągu. Wcisnęłam się między pasażerów, dysząc ciężko. Ludzie byli upchani niczym sardynki w puszcze, dlatego stałam tuż przy drzwiach. Czekałam na sygnał oznaczający odjazd. Ze stresu i wysiłku zrobiło mi się niedobrze.

Niespodziewanie czyjaś dłoń zacisnęła się na moim ramieniu w żelaznym uchwycie. Ktoś brutalnie pociągnął mnie w stronę peronu. Otworzyłam szeroko oczy i pisnęłam histerycznie. Szukając ratunku, złapałam metalową poręcz. Ludzie wokół patrzyli na mnie zdezorientowani. Jakaś kobieta zaczęła okładać gazetą trzymającą mnie dłoń. Na sygnał zatraskujących się drzwi napastnik cofnął rękę, zrywając mi z ramienia torebkę. Spojrzałam na niego przez dzielącą nas szybę. Gwałtownie, ze złością uderzył w nią pięścią. Na ten gest skuliłam się przerażona. Pociąg ruszył powoli, a nieznajomy zrobił jeszcze kilka kroków, wpatrując się we mnie intensywnie. Wyciągnął ku górze palec i wskazał nim moją twarz. Pociąg jechał coraz szybciej i po chwili za szybą migiała jedynie ciemność tunelu.

– Chuligan! – krzyknęła kobieta, która mi pomogła. – Powinna pani iść na policję. Ukradł pani torebkę! Nawet o tej porze nie można czuć się bezpiecznie! Skandal.

Incydent komentowali niemal wszyscy pasażerowie wagonu. Nie wsłuchiwałam się w ich słowa. Odwróciłam się do mroku migającego za drzwiami pędzącego wagonu. W głowie miałam spojrzenie chłopaka. Był wściekły, że pozwolił mi uciec. Czym go sprowokowałam? Przecież byłam nikim. Objęłam odruchowo własne ramiona, chcąc pocieszyć samą siebie. W tej chwili beznadzieja mojego życia wydała mi się bardziej nieznosna niż kiedykolwiek.

ŚMIERĆ JAK KOBIETA – BYWA ZMIENNA

Cały następny tydzień spędziłam w domu. Dni mijały szybko, pełne gorącego powietrza i słońca. Noce były długie, a sny... Sny były niezwykle. Tak odmienne od tych, do których zdążyłam się już przyzwyczaić. Pełne niewidzialnej obecności kogoś, kogo czułam za każdym razem, gdy zamykałam oczy.

Nigdy nie zapomnę nocy będącej początkiem tych zmian. Tkwiłam wbita w ogień niczym bezbronne, pogodzone ze swoim losem polano. Niespodziewanie z nieba, które niby nie istniało, zaczął padać deszcz. Był przeszywająco zimny, ale uspokajał moje podświadome piekło. Woda zmyła resztki ognia ze skóry. Ktoś w tej ciemności krążył dokoła mnie. Nie mogłam go dostrzec, ale zdradzał go zapach. Przyzwyczajona do woni popiołu i spalenizny od razu wychwyciłam świeżość mroźnego poranka. Nie czułam się osaczona, ten ktoś nie chciał mnie przestraszyć. Oboje milczeliśmy, ale było to tylko złudzenie. Prowadziliśmy bowiem bezsłowną rozmowę albo raczej ja opowiadałam mu o sobie. Co jakiś czas chłodna dłoń muskała kosmyki moich włosów i spodziewałam się, że poczuję jej zimny dotyk także na ciele, lecz obserwatorowi ze snu najwyraźniej brakowało odwagi. W końcu się oddalił, zataczając wokół mojego ciała coraz szersze kręgi. Przyjemna rześka woń traciła na intensywności, aż zniknęła, pozostawiając mnie samą pośrodku nocy. Ogień natychmiast wrócił.

Przebudzona, zastanawiałam się, dokąd zaprowadzi mnie to szaleństwo. Minęły długie godziny, zanim zdecydowałam się wstać z łóżka. Babcia nie pytała o pracę. Ja milczałam, nie chcąc przywoływać wspomnień.

Wreszcie odważyłam się wyjść z domu. Nic nie wskazywało na to, że mężczyzna, który ukradł mi torebkę, zamierza mnie odnaleźć. Postanowiłam zgłosić kradzież na policję.

W dusznym komisariacie oficer dyżurny spisywał setki, jeśli nie miliony stron protokołu. Wsłuchiwałam się w szum wentylatora chłodzącego ciasny pokoik. Na

biurku, przy którym pracował funkcjonariusz, obok sterty papierzyk stała szklanka z czerwonym kompotem. Na krawędzi śliskiej ścianki naczynia balansowała osa, kuszona słodkim zapachem. Policjant podrapał się w szyję i spojrzał na zegarek.

– To jak wyglądał ten mężczyzna?

– Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, raczej chudy, popielate włosy. Miał tatuaż na szyi.

– Co przedstawiał?

– Nie jestem pewna, ale chyba był to motyl, albo nie... raczej ćma. – Dumna z siebie pokiwałam głową. – Tak, to z pewnością była ćma.

Notował bez końca, aż wreszcie podsunął mi pod nos ubrudzony keczupem dokument.

– Pani podpisze.

– Czy jest szansa, że odzyskam torebkę? – Patrzyłam, jak osa tonie w słodkim czerwonym soku.

– Trudno powiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Wie pani, ile takich zgłoszeń mamy w ciągu jednego tylko dnia? A poza tym minął tydzień. Pani torebka pewnie już od dawna leży wypatroszona na jakimś śmietniku.

Świetnie, pomyślałam. Nie ma to jak wsparcie organów ścigania.

– Oczywiście będziemy szukać. – Wstał ociężale, dając mi do zrozumienia, że nie poświęci mojej sprawie ani chwili więcej. – Miłego dnia pani życzę.

Z przesadną siłą ścisnął mi rękę w geście pożegnania. Wychodząc, zobaczyłam, jak opiera nogi o biurko i zaczyna dłubać w zębach. Zdałam sobie sprawę, że nie mogę liczyć na niczyją pomoc. Otepiała podążałam wąskim chodnikiem i przyglądałam się ursynowskiemu blokom powbijanym w ziemię niczym monstrualne kostki domina. Czego mogli chcieć ci dwaj? Białowłosey miał obłęd w oczach.

Z zamyślenia wyrwał mnie okrzyk jakiejś dziewczyny:

– Anka?! Anka Markowska?!

Odwróciłam głowę i moim oczom ukazała się znajoma, mocno umalowana buzia Basi Zalewskiej, koleżanki z liceum. Miała włosy ufarbowane na platynowy blond i gdzieś tam poprzetykane różowymi pasemkami. Jej granatowe oczy mieniły się radośnie.

– Basia. – Zmusiłam się do uśmiechu. – Co u ciebie?

– Obijam się jak zawsze. Nie widziałam cię od matury! Co słychać? – Podeszła do mnie sprężystym krokiem.

– Stara bieda.

Nie chciałam na ulicy opowiadać o dramacie, który rok temu zniszczył mi życie.

– Pamiętam, że mieszka tutaj twoja babcia. Spędzasz u niej wakacje? Nie za stara jesteś, żeby cię pilnować? – Parsknęła rozbawiona.

Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Basia nie wiedziała, że mój ojciec i siostra nie żyją.

– Tak jakby – szepnęłam, zwieszając głowę.

Zaśmiała się nerwowo, zażenowana moim enigmatycznym wyjaśnieniem.

– Idę do pracy. Może mnie odprowadzisz? – zapytała i włożyła do ust cienkiego, mentolowego papierosa.

Spojrzałam na niebo. Słońce było wysoko, a perspektywa siedzenia w mieszkaniu z babcią wydała mi się zdecydowanie gorszą opcją od odprowadzenia koleżanki. Wzruszyłam ramionami, a uśmiech nieco łatwiej wypłynął na moje usta.

– Czemu nie. Gdzie pracujesz? – odparłam, udając zainteresowanie.

– W pubie Czarny Kot. – Zaciągnęła się głęboko papierosowym dymem. – Jest głośno, ale sympatycznie. Może jesteś zainteresowana pracą? Szukamy dodatkowych kelnerek i barmanek. – Mrugnęła do mnie zawadiacko.

Przyjrzałam się jej nieco uważniej. Oczy podkreśliła grubą czarną kredką, a powieki błyszczały od granatowego brokatu. Pod tą maską dość drapieżnego makijażu kryła się jednak przyjazna dusza. A praca była mi potrzebna. Cierpliwość babci kiedyś się skończy.

– Nie mam doświadczenia w robieniu drinków – wyznałam zrezygnowana.

– Jakich drinków? Anka! – Moja barwna koleżanka roześmiała się radośnie.

– Nasza klientela nie jest aż tak wyrafinowana. Raz na jakiś czas do zwykłego soku pomarańczowego dodasz wódkę i *voilà*.

Przeanalizowałam jej propozycję i skinęłam głową.

– W takim razie jestem zainteresowana pracą.

Klasnęła w dłonie.

– Świetnie! Chodź, pokażę ci, co i jak.

Bez oporów wzięła mnie pod rękę i zaczęła opowiadać zabawne historie, które rozegrały się w Czarnym Kocie. Jej entuzjazm odrobinę mi się udzielił, ale wyparował, gdy tylko ujrzałam miejsce mojej przyszłej pracy.

Bar usytuowany był w piwnicy trzypiętrowego bloku, tuż przy ruchliwej ulicy. Wyglądał na dość przestronny, ale na tym kończyły się jego zalety. Wyłożone brązową boazerią ściany zostały obwieszane amatorskimi zdjęciami z najróżniejszych koncertów. Przy obskurnych stolikach stały równie obskurne krzeselka, każde innego koloru i kształtu.

Za barem stał starszy mężczyzna z gęstą brodą i czerwoną bandanką na głowie; spod materiału starczały siwe kręcone włosy. Wycierał kufle na piwo.

– No proszę, czyżby udało ci się namówić koleżankę do pracy u nas? – Miał niezwykle ciepły, głęboki głos.

– Tak! – Basia popchnęła mnie w kierunku baru. – Kryspin, to jest Anna Markowska. Aniu, to Kryspin Garlicki, właściciel Czarnego Kota.

Podaliśmy mu rękę i bąknęłam coś nieśmiało na powitanie. Przywitał się i od razu wręczył mi mokre naczynie.

– Kilka informacji na temat zasad pracy w Czarnym Kocie, moja droga koleżanko. Nie ma ćpania. Żadnego. Zioło też nie wchodzi w grę. Jeśli cię przyłapię, że nie nabijasz sprzedanego alkoholu na kasę, wylatujesz. Wynagrodzenie do łapy na koniec miesiąca, a napiwki do wspólnego podziału. Zrozumiano?

– Tak.

– No to super. Idę do siebie, mam sporo faktur do przejrzenia. Baśka, zajmij się koleżanką – polecił.

Z przesadną dokładnością zaczęłam polerować szkło. Kryspin zniknął w pokoiku, na którego drzwiach ktoś wydrapał scyzorykiem napis „Biuro”.

Basia podkreśliła muzykę, która wydobywała się z zawieszonych pod sufitem głośników. Nie znałam ani zespołu, ani tytułu piosenki. Melodia przypominała łomot, a piosenkarka wrzeszczała jak ofiara wypadku samochodowego. Po jakimś czasie wychwyciłam jednak rytmiczne uderzenia perkusji, a z chaotycznego szarpania strun wyłoniło się całkiem interesujące brzmienie.

Stojąca na środku sali Basia zaczęła się obracać w szalonym tempie, strącając przy tym kilka pustych pojemników na serwetki. Patrzyłam, jak jej toporne buty obijają się o krzeselka. Roześmiana podała mi wypełniony worek na śmieci i ruchem głowy wskazała drzwi od strony zaplecza. Jej pogodny nastrój wypławił ze mnie resztkę porannego niezadowolenia, więc i ja zaczęłam podrygiwać. W tanecznym rytmie pokonałam schody prowadzące do wyjścia z budynku i zgrabnym ruchem wrzuciłam worek do wielkiego kubła na śmieci. Pogratulowałam sobie celności, wznosząc ręce do nieba, i po raz pierwszy od dawna zaśmiałam się beztrósco. Czy własny głos może aż tak zaskoczyć? Najwyraźniej może, ponieważ odruchowo zakryłam usta dłonią, nieprzyzwyczajona do radosnego dźwięku.

Moje oczy mimowolnie spoczęły na czarnym, drogim samochodzie zaparkowanym naprzeciwko. Boczna szyba była nieco opuszczona i przez wąską szparę wydobywał się papierosowy dym. Poczułam dziwaczne mrowienie pełzające od karku wzdłuż pleców i smak krwi w ustach. Zażenowana faktem, że kierowca przyglądał się moim wyczynom, schroniłam się w budynku i zatamowałam krwawienie.

Przez kolejne godziny czyściłam stoliki, myłam naczynia i zamiatałam. Czułam radość. Po raz pierwszy od roku robiłam coś użytecznego, co odciągało moje myśli

od szarości i depresji. Byłam potrzebna i to uczucie naładowało moje serce jak baterię. Klienci stopniowo zapełniali salę, a ja starałam się być choć trochę pomocna.

Niestety przygotowanie zwykłej wódki z colą zajmowało mi całą wieczność, a niecierpliwe pomruki klientów sprawiały, że byłam bardziej niezdarna niż zwykle. Dziewczyna siedząca przy barze klepnęła otwartą dłońią w drewniany blat i posłała mi nieprzyjemne spojrzenie.

– Szybciej, do cholery, chciałabym się czegoś napić w tym stuleciu! – Spojrzała na grupę swoich znajomych, którzy ociężale zaczęli szykować się do wyjścia.

Jeden z chłopaków podrzucił w górę kluczyki od samochodu. Sposób, w jaki się poruszał, jednoznacznie wskazywał, że wypił za dużo i nie powinien siadać za kierownicą.

– Marta, rusz się! Wychodzimy! – krzyknął do dziewczyny czekającej na drinka.

– Chwila, jeszcze chwila!

Przesunęłam wzrok na jej twarz i zamarłam przestraszona. W ciągu kilku sekund powietrze wokół dziewczyny zgęstniało, tworząc szarą, zabrudzoną aurę śmierci. Z taką siłą zacisnęłam dłonie, że szklanka z drinkiem pękła, a napój chlusnął na piersi zniecierpliwionej dziewczyny.

– Cholera jasna! – wrzasnęła na widok rozmiaru plamy.

Milczałam zahipnotyzowana upiorną wizją jej zgonu. Czułam silny zapach spalin, rozgrzanego metalu i krwi. Przez ułamek sekundy widziałam białe żebra, przebijające opaloną skórę klatki piersiowej.

– Idziesz czy nie?! – krzyknął znowu chłopak.

– Nie! Jedźcie sami – odpowiedziała i spojrzała na mnie z wyrzutem. – Dziś mam bardzo pechowy dzień.

Kiedy jej znajomi zniknęli za drzwiami, aura śmierci otaczająca dziewczynę po prostu wyparowała.

Sytuację postanowiła uratować Basia: wcisnęła mi do ręki miotełkę z szufelką i suchy ręcznik.

– Posprzątaj to – szepnęła i uśmiechnęła się do wściekłej klientki. – Dwa kolejne drinki na koszt firmy – powiedziała.

– Nie, dziękuję. Wolę umrzeć, niż czekać kolejną godzinę na coś do picia.

Zaśmiałam się histerycznie. Dziewczyna nie miała pojęcia, że śmierć czyhała na nią tuż za rogiem. Już zacierała swoje kościste dłonie, ale wystarczyła drobna zmiana planów i musiała obejść się smakiem. Niemal słyszałam, jak cmoka niezadowolona z powodu życia, które tak niespodziewanie pierzchnęło jej spod kosa.

Resztę wieczoru spędziłam na zmywaku, recytując szeptem inwokację z *Pana Tadeusza*. Tylko w taki sposób mogłam powstrzymać potok niespokojnych myśli. Nie chciałam ulegać własnemu szaleństwu, choć zaczynałam podejrzewać, że owa przypadłość może być swego rodzaju darem. Albo klątwą. Tak, klątwa to chyba lepsze określenie.

Do domu wróciłam nad ranem w towarzystwie Basi. Opowiadała coś z przejęciem i charakterystycznym dla siebie entuzjazmem. Nie słuchałam jej. Czułam się jak we śnie. Wszystko wydawało mi się obce, nierzeczywiste, a moja przyszłość nieprzewidywalna. Zatrzymałam się pod blokiem i pożegnałam koleżankę. Przez chwilę patrzyłam, jak znika w ciemnościach osiedlowej uliczki. Spojrzałam w niebo, które z wolna zaczęło przybierać stalowy odcień zapowiadający nadejście kolejnego pustego dnia.

Zrozumiałam, że niebawem wszystko ulegnie zmianie. Czekam przełom, który bezpowrotnie odmieni całe moje życie. Widziałam to w twarzach obcych ludzi, wyczuwałam w powietrzu, które wdychałam do płuc. Jakby na potwierdzenie moich domysłów w oddali rozległ się chrapliwy szczek bezdomnego psa.

W mieszkaniu powitała mnie grobowa cisza. Babcia najwyraźniej spała, a jeśli nie, to nie zwracała sobie głowy, by zapytać, gdzie spędziłam cały dzień i noc.

Po szybkiej kąpieli wsunęłam się do łóżka i nakryłam głowę kołdrą.

W oknie jej mieszkania zgasło światło. Odpaliłem samochód z zamiarem powrotu do hotelu. Straciłem nadzieję na jakikolwiek odpoczynek tej nocy. Warszawa zatopiona we śnie wyglądała łagodnie i przejrzysto. Centrum pozbawione ludzkich postaci przypominało obcą krainę. Przez moment czułem się tak, jakbym w wyniku wielkiego kataklizmu pozostał na świecie sam. Dziwaczne uczucie trwało przez moment i znikło, w chwili gdy dojrzałem grupę zakapturzonych małych dzieci siedzących na przystanku. Pili bez troski piwo, mając w głębokim poważaniu wszelkie nakazy i normy dorosłych. Moje dorastanie wyglądało zupełnie inaczej.

Zapaliłem papierosa i przyjrzałem się drobiazgom rozrzuconym na siedzeniu pasażera. Mały czarny portfel wypchany rachunkami i dokumentami, gumy do żucia o smaku coli, popsuta spinka do włosów, dwa długopisy, chusteczki higieniczne i próbka perfum o zapachu brzoskwiń. W torebce znalazłem też zdjęcie jakiegoś mężczyzny i gołębie piórko. Tyle razy przeglądałem te rzeczy w nadziei, że dowiem się czegoś więcej o ich właścicielce. Po czasie zdałem sobie sprawę, że lubię ich dotykać, a zwłaszcza wdychać woń tanich perfum.

Dzisiaj spędziłem przy niej cały dzień, licząc na to, że wreszcie będzie sama i uda mi się wpakować ją do samochodu bez świadków. Kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, zwyczajnie zabrakło mi odwagi. Obserwując ją, zapomniałem o całym świecie. Była jak anioł spętany więzami szarej rzeczywistości – piękna w swoim smutku. Przywołałem w pamięci barwę jej energii. Po wczytaniu się w jej duszę pozostało we mnie przedziwne odczucie. Być może jakiś poeta potrafiłby owo osobliwe wrażenie ubrać w słowa, mnie na myśl przychodziło tylko jedno. Spopielenie. Tak się właśnie czułem. Jakby pożar strawił wnętrze mojej duszy, pozostawiając głuchą pustkę. Nie sądziłem, że słowa proroctwa należy traktować tak dosłownie.

Skarciłem się w myślach za dziwaczne pragnienie wtulenia twarzy w jej włosy i napawania się ich zapachem. Niestety mój nieposłuszny umysł bawił się dalej, ignorując zalecenia rozsądku. Z chorą przyjemnością, która graniczyła z torturą, wyobra-

ziłem sobie smak jej skóry i mój język wewnątrz jej ust. Ta wizja wstrząsnęła mną do tego stopnia, że niemal straciłem życie, wjechawszy wprost na betonowy słup przydrożnej latarni. W ostatniej chwili udało mi się wykonać skręt i ominąć przeszkodę dosłownie o centymetr.

Świadomość, że z godziny na godzinę ogarnia mnie coraz większa fascynacja, irytowała do granic możliwości. Nie miałem prawa do takich myśli. Gdybym spróbował zaspokoić ten żalosny głód, dopuściłbym się świętokradztwa. Czy mógłbym się okazać aż tak samolubny, by przez własny egoizm pozbawić świat ostatniej szansy na nowy początek? Podobnie jak innym Widzącym, zasiano w mojej głowie ziarno obsesji, której źródłem była mityczna Zapalka. Dusza spowita anielskim czystym ogniem. Castus Ignis.

Człowiek, który kiedyś nie miał twarzy, nabrał kolorów i kształtów. Pięknych kształtów czarnowłosej dziewczyny.

Zapominając o obowiązkach, budowałem scenariusz zdrady Organizacji, a nadzieja, jaka temu towarzyszyła, przyspieszała krążenie krwi. A gdybym tak zniknął, nie zawiadamiając nikogo, że ją znalazłem? Przekonałbym ją do ucieczki i do końca życia podziwiał jej światło. Byłaby tylko moja. Do diabła z resztą świata. Do diabła z boską sprawiedliwością.

Fala wściekłości przebiegła po moim ciele. Nie! Nie mogę tak po prostu dać się zmanipulować! Zrobię to, co do mnie należy, bez względu na pragnienia, bez względu na idiotyczną fascynację. Zachowam rozsądek...

Dziewczyna musi umrzeć.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. PIERWSZE SPOTKANIE

Podróż, przygoda, przyjaźń, poświęcenie.

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. MARTWY CHŁOPIEC

Walka, oddanie, przygoda, odpowiedzi.

W drugiej części cyklu powieściowego Re-Horachte powracają znani nam z „Pierwszego spotkania” bohaterowie. Wydaje się, że chłopcy zapomnieli o wydarzeniach sprzed roku, że wrócili do codzienności. Tymczasem młodych przyjaciół czeka kolejna niebezpieczna, pełna przygód i emocji podróż, przed nimi kolejne tajemnice do odkrycia.

Nieoczekiwanie podejmą się misji odnalezienia starożytnych artefaktów. W trakcie okaże się, że ich los jest nierozdzielnie związany z wydarzeniami z odległej przeszłości oraz tajemniczymi Dziećmi Stulecia, które według przepowiedni mają ocalić świat przed nieuchronnie nadciągającą zagładą. Będą pościgi, ucieczki, walki, trudne wybory i nieprzewidziane spotkania. Oraz... anioły.

A kim jest Martwy chłopiec? Koniecznie musisz się dowiedzieć!

Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieże zaświatów, od średnio-wiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Martyna Goszczycka: ODRODZENIE

Pierwszy tom Sagi Wizji Paradoksalnych

Jedynie poświęcenie prowadzi do odrodzenia.

Przedświat demonów i Zaświat nimf, barwne aury i Zwierciadła Duszy, boginie stworzone przez alchemika i bezduszne reguły Syndykatu Skrytobójców, Sny, które przerażają i fascynują zarazem.

Oto świat, w którym dorasta młody demon Haru – uczy się, jak przeżyć i jak zabijać, walczy, by zostać uczniem okrutnej białowłosej. A może jest lub stanie się dla niej kimś więcej? Może on też czegoś nauczy piękną Plage...

„Odrodzenie” to mroczna powieść fantasy, pełna przemocy, śmierci, scen walki, ale także kipiących emocji i rodzących się uczuć. Autorka to absolutna debiutantka, która bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w swój świat wyobraźni, ciekawie łącząc horror, fantasy i powieść z gatunku płaszcza i szpady.

Kontynuacja losów Haru i Plage w drugim tomie sagi pod tytułem „Potępienie”.

Martyna Goszczycka: POTĘPIENIE

Drugi tom Sagi Wizji Paradoksalnych

Każdy dar może prowadzić do potępienia.

Plage znika z Przedświatu, Haru znowu zostaje porzucony. Jedyne, co albinoska mu po sobie zostawiła, to list, w którym wyjaśnia, czemu musiała odejść. Jasnowidz desperacko próbuje znaleźć sposób, by dotrzeć do białowłosej – co nie będzie, proste, bo wróciła do Zaświatu.

Jedyną nadzieją młodego demona jest Eliara, która zdaje się wiedzieć dużo więcej od niego. Jednak medyczka, mimo swojej przyjaznej natury, wcale nie jest skora do pomocy i uparcie unika Haru. Śledzenie Eliary i skłonienie jej do współpracy to dopiero początek problemów...

Haru czekają starcia z rusałkami, wilkołakiem, magiem...

A Plage czeka zatopiona w lodzie. Czy Haru zdoła do niej dotrzeć na czas?

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

„Struny czasu” opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści „Yggdrasil. Exodus”.

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

„Jedwab i porcelana” to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce kraje rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long

zmaga się z własnymi demonami i samym sobą. „Jedwab i porcelana” to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. „Biały tygrys”, „Niebieski smok”, „Czerwony ptak” i „Czarny żółw”.

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

E. M. Thorhall: ZAMEK LAGHORTÓW, I tom cyklu ZBROJNI

Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu ZBROJNI pod tytułem: „Zamek Laghortów”.

Młodziutka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnie, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten

pochodzący z Vartheny surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobłażać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu...

E. M. Thorhall: Handlarze niewolników, II tom cyklu ZBROJNI

Ta powieść ekscytuje i niepokoi.

Jak potoczyły się dalsze losy dzielnych zwiadowców i ryzy Sir Eryka? Muszą mierzyć się z kolejnymi wyzwaniem losu czy wiodą spokojny i nudny żywot na zamku? Nuda na pewno nie czeka czytelnika. Tym razem autorka odważyła się na znacznie więcej niż spokojne opisy przyrody i okolic zamku, na śledzenie turniejów czy relacje z dworskich intryg. Dzieje się sporo. Na początek szarą zamkową codzienność ożywia duże i radosne wydarzenie, jakim są zaślubiny jednego ze zbrojnych. Co nie znaczy, że dalej będzie sielankowo.

Uzbrojona grupa handlarzy ludźmi napada świtem na jedną z wiosek należących do Sir Eryka. Na ratunek uprowadzonym wyrusza drużyna pod dowództwem Morhta. Czy i tym razem surowy Vartheńczyk poradzi sobie z każdą przeciwnością i niespodzianką? A może wręcz przeciwnie – może z jakiegoś powodu stchórzy i ucieknie? A Kyla? Co ta dziewczyna ma wspólnego z półumarłymi istotami? Jaką więź ją z nimi łączy? Okażą się sojusznikami czy wrogami?

Niespodziewane zwroty akcji, czarny humor, zbrojni, rozpustne dziewczyny, gildia łotrów, przemoc i gwałt, miłość i magia, barbarzyńcy i... dhampir. Co tu, na ciemnika, robi dhampir?

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY, cykl TEATR WĘŻY, tom 1

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, „Dwie karty” otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: „Pośród cieni” oraz „W mocy wichru”.

Dariusz Kankowski: PŁACZ PRZODKÓW

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciemieni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantasy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Dariusz Kankowski: TĘSKNOTA

Zbiór dziewięciu zróżnicowanych stylistycznie i tematycznie opowiadań połączonych wspólnym motywem. Autor zabiera nas w podróż przez czasy i światy, skłania do refleksji nad naturą tęsknoty i jej implikacjami. Zbiór tworzy całość poprzez system subtelnych powiązań, odniesień, wątków – mitologicznych, baśniowych, historycznych, literackich – z przeplatającym się motywem Pięknej i Bestii, osadzonym w realiach XXI wieku.

Emma Popik: WYWIAD Z BOGIEM

Kim jest człowiek nazywany przez prosty lud bogiem? Podobno tworzy nowe byty – a to wszak robota bogów. Ale czy jest ważniejszy od wpływowego dziennikarza, który również posiada boską moc? Może wywyższać ludzi swoimi artykułami lub strącać ich w niebyt niesławy byle pomówieniem. Spotkaniu tej dwójki poświęcone jest tytułowe opowiadanie.

Bohaterowie pozostałych, podejmując decyzje, wykonując swoją pracę, wypełniając misje lub rozkazy, mają wpływ na całe miasta, kraje, a nawet planety. Albo intymniej – odmieniają los jednego człowieka, jednej miłości...

Bogowie są jak ludzie: leniwi, skorzy do wybuchów gniewu, oczekują zapłaty i sutego poczęstunku. I czynią cuda. Ludzie są jak bogowie: wszechmocni, niosą śmierć, decydują o życiu, marzeniach i wspomnieniach innych. Lecz wciąż pozostają ludźmi – ułonnymi, popełniającymi błędy, a zarazem wspaniałymi, skłonni do poświęceń, kochającymi życie, łaknącymi ciepła drugiego człowieka. Bo wszystko można zapomnieć, prócz miłości i tęsknoty.

Opowiadania czyta się z zapartym tchem. Z zadumą, rozbawieniem, wzruszeniem. Emma Popik jest w doskonałej formie literackiej, co udowadnia kolejnym świetnym tomem opowiadań.

Emma Popik: WIGILIA SZATANA

Kolejny rewelacyjny zbiór Emmy Popik to smakowity kąsek dla pasjonatów dobrej fantastycznej prozy i mocnej hard sf, wgrzyzającej się w mózg i przepalającej trzewia.

Tym razem autorka wprowadza nas w świat, który zostanie zbawiony przez... Szatana. Chcesz takiej apokalipsy, takiego końca i nowego początku? Nie chcesz? A jeżeli żadna inna wyższa siła się nie kwapi? Jeżeli Opatrzność odwróciła się od świata i ludzkości?

Coś dla czytelników o stalowych nerwach. „Wigilia Szatana” to kolekcja przejmujących, mocnych opowiadań o upadku cywilizacji, słabości i błędach człowieka, o zbrodniach, które popełnia na najbliższych oraz na otaczającym go świecie. Ciebie to nie dotyczy? Więc lepiej przejrzyj się w lustrze, geniuszu. Kto oddaje własne dzieci do domu dla niepełnowartościowego materiału ludzkiego? Kto kazał przyrodę „Zapakować w pudełko” i bezwzględnie ją kontroluje, tym samym uśmiercając własny gatunek? Kto pozwala wyzyskiwać się różnym cwaniakom, nazywających uczucia „Zespołem nieprzystosowania społecznego”? Kto daje się otumaniać bankierom, maszynom, systemom, urzędowi, kto wierzy w boga wiecznych promocji? Nie wiesz? A może po prostu nie lubisz „Kłopotliwych pytań”, podważających obowiązujące prawo i naukę.

Uspakajając własne sumienie, zapewniasz, że świat nigdy nie będzie tak wyglądał. No to rozejrzyj się wokoło...

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłania?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

DO DIABŁA Z BOGIEM

Autorzy: Grzegorz Piórkowski, Bartłomiej Dzik, Stanisław Truchan, Hanna Fronczak, Karolina Cissowska, Anna Dominiczak, Paweł Ciećwierz, Joanna Maciejewska, Istvan Vizvary, Dawid Juraszek
antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją Dawida Juraszka

Opium dla ludu w 10 odsłonach.

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przyszłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

W zbiór wprowadza opowiadanie „Kismet”. Tam, gdzie zawodzi zdrowy rozsądek, i cuda przestają być łatwe do wyjaśnienia, o wiele łatwiej popaść w fanatyzm, i zatracić się w szalejącej wojnie. Gdy pojawiające się znikąd anioły potrafią w mgnieniu oka spopielić całą wioskę, ciężko jest pozostać przy starej wierze. Sceptycznie nastawiony żołnierz, z nieco mniej sceptycznymi podkomendnymi, zostaje wysłany, żeby zbadać te cuda. Nie wie jeszcze, iż nie będą to zmagania z kwestią wiary, którą mamy w sercu. Wręcz przeciwnie.

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacną nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Aleksander Kowarz: RYDWAN BOGÓW

Fotoreporter, dwoje egiptologów, franciszkanin i nie taka całkiem zwyczajna turystka zostają przez przypadek towarzyszami niezwyklej podróży, która zaprowadzi ich w miejsca, o jakich nie śnili. A wszystko to za sprawą złotego skarabeusza, znalezionej w pobliżu Kazimierza Dolnego, który okazuje się kluczem do wielkiej zagadki.

Pięć tysięcy lat wcześniej w równie niezwykłą podróż wybrali się kapłan Świątyni Horusa Sefian i jego syn. Sefianowi została powierzona delikatna i ważna misja, a niepowodzenie nie wchodzi w rachubę.

Losy obu grup, choć dzielą ich tysiące lat, są ze sobą ściśle powiązane za sprawą tytułowego Rydwana Bogów. Czym jest, dlaczego jest tak ważny i dlaczego wszyscy chcą nim zawładnąć? Piątka towarzyszy musi znaleźć odpowiedzi na te i inne pytania, aby móc wrócić do domu.

Fascynująca powieść, w której odległa przeszłość przeplata się z teraźniejszością, magia z wiarą, miłość z powinnością, a przeznaczenie z misją.